

TOMASZ PONIKŁO



TISCHNER
NADZIEJA
NA MIARĘ PRÓBY
OSTATNIE SŁOWA



Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2020

© Tomasz Ponikło, 2020

Opieka redakcyjna: Sławomir Rusin

Redakcja: Małgorzata Płazowska

Korekta: Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Marcin Jakubionek

Skład: Lucyna Sterczewska

Fot. str. 124: Jerzy Ochoński

Fot. str. 237: Grzegorz Gałązka

Fot. str. 245: arch. rodziny Tischnerów

Wcześniejsze wydania książki ukazały się pod tytułem

Józef Tischner. Myślenie według miłości. Ostatnie słowa

(Wydawnictwo WAM, Kraków 2013)

ISBN 978-83-277-2544-8

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: Grafarti • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze LUX CREAM 80 g vol. I.6

dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

Nadzieja – akt powiernictwa

20 września 1986¹

W naukach brata Idziego znajdujemy rozdział „o wytrwaniu dobrym”, rozdział, w którym jest także nauka o nadziei. „Cóż pomogą człowiekowi mnogie posty i modlitwy, i dawanie jałmużny, i udręczenie samego siebie w wielkim poczuciu rzeczy niebieskich, skoro nie dobił do przystani błogosławionej zbawienia, to jest do dobrego i silnego wytrwania? Zdarza się nieraz, że zjawi się statek na morzu bardzo piękny, wielki, silny, nowy i bogactw mnogich pełen. I zdarza się, że skutkiem burzy czy z winy sternika ginie i tonie ten statek, i idzie marnie na dno, i nie dobją do upragnionej przystani. Więc cóż mu pomoże cała piękność jego, dobroć i bogactwo, skoro tak marnie ginie w przepaści morza? A czasem znów zjawi się łódź na morzu mała, stara i z nielicznym towarem, lecz mając sternika dobrego i rozumnego, przebywa burzę i uchodzi przepaści morza, i przybywa do przystani upragnionej. Tak samo dzieje się z ludźmi na morzu burzliwym tego świata”².

W tym opowiadaniu nadzieja jest związana z obrazem steru. Człowiek, który ma nadzieję, ma jakby ster w swoim życiu, zna kierunek, w którym jego życie płynie, może życiem swoim odpowiednio pokierować. Dwie sprawy są ściśle związane z przeżyciem nadziei. Pierwsza sprawa to sprawa przyszłości. Kto ma nadzieję, ten wyżej sobie ceni to, co będzie, to, co nadejdzie, od tego, co jest. Nadzieja pozwala człowiekowi pokonać przeciwności i trudy dnia codziennego. Dzięki nadziei chory może wyzdrowieć, bo nadzieja doda mu nowych sił. Dzięki nadziei może zdobyć się na cierpliwość w znoszeniu codziennych krzyży. Dzięki nadziei człowiek może osiągnąć wytrwałość w postanowieniach. Człowiek, który traci nadzieję, słabnie. I to nie tylko na duchu słabnie, ale słabnie także na ciele. Nadzieja jest tą niezwykłą siłą człowieka, która go kieruje ku zbawieniu. O Abrahamie mówi święty Paweł, że „wbrew nadziei uwierzył nadziei”. Przyszłość jest przyszłością zbawienia. Zbawienie dokona się jutro. A więc jutro jest ważniejsze niż dzień dzisiejszy. Ale dzień dzisiejszy prowadzi do tego jutra. Trzeba więc, jak mówi brat Idzi, tak trzymać ster, żeby jutro trafić do przystani.

W opowiadaniu brata Idziego jest też mowa o skarbach. Oto okręt pełen skarbów, oto łódź, która ma niewiele skarbów, ale ma dobrego sternika. Człowiek musi wierzyć w to, że ma w duszy jakieś skarby, że te skarby ma uratować, ma ocalić, że ma je przynieść do królestwa Bożego. Człowiek, który w sobie, w swojej duszy nie widzi żadnego skarbu, właściwie nie widzi też celu swojego życia. Parę razy spotkałem studenta, który przeszedł przez bardzo trudne życiowe doświadczenia.

Zawsze po takich doświadczeniach mówił o sobie: „jestem szmatą”. Dosłownie tak mówił. I kiedy tak mówił, wiadomo było, że nie ma już żadnej nadziei. A nie ma dlatego, że nie widzi w sobie niczego, co by warte było uratowania. Wszystko jest zniszczone, wypalone. Jest w nim sam popiół. A czy warto narażać się na niebezpieczeństwa, żeby ratować ten popiół? I dlatego bardzo potrzeba człowiekowi tego, by wierzył w swoją wartość. By wiedział – jak to Chrystus raz powiedział: „cenniejsi jesteście niż wróble”. Że choćby najmniejszą, ale przecież ma w sobie wartość, skarb, który trzeba mu zanieść do królestwa Bożego.

Teraz zbliża się jesień. Na polach pojawiają się pajęczyny, a na pajęczynach są kropel rosy, w których odbija się wschodzące słońce. Każda z tych kropel rosy inaczej odbija blask słońca. Można powiedzieć, że tyle jest słońc na pajęczynie, ile na pajęczynie jest kropel rosy. I podobnie z człowiekiem. Każdy człowiek inaczej odbija promień łaski Bożej. Każda z was, jak tu jesteście, jest jakąś kroplą rosy na Bożej pajęczynie. Trzeba o tym wiedzieć. Bo kiedy człowiek o tym zapomni, wtedy może sobie powiedzieć: nie warto narażać się na niebezpieczeństwa, nie ma we mnie nic do uratowania – i wtedy człowiek traci nadzieję.

Ale żeby była nadzieja, musi być jeszcze druga sprawa. Kiedy mowa o nadziei u Abrahama, widać to całkiem wyraźnie. Skąd ona płynęła, skąd się brała nadzieja Abrahama? Skąd się brała nadzieja Maryi Panny? Brała się z obietnicy. Źródłem nadziei jest obietnica. Sternik, który steruje łódką na morzu, patrzy w gwiazdy, żeby nie stracić kierunku.

Człowiek wierzący patrzy w obietnicę Jezusa Chrystusa. Bóg daje człowiekowi obietnicę. Przed ukrzyżowaniem, jak pamiętamy, Chrystus modli się: „Wślaw mnie, Boże” – daj mi chwałę, daj mi sławę, wesprzyj mnie. A niebo odpowiada: „Wślawiłem i jeszcze wślawię”. I wtedy Chrystus idzie na swoją Drogę Krzyżową. Na krzyżu dokonuje się największa próba nadziei. Chrystus mówi: „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?”. Wydawałoby się, że rozpacz wtargnęła w Jego serce. Sam, na krzyżu, między niebem a ziemią, opuszczony przez ludzi, opuszczony przez Boga. Jest to godzina największych ciemności Syna Bożego. W tej godzinie Bóg wypróbowuje nadzieję. Bo nadzieja wtedy staje się naprawdę nadzieją, kiedy jest wypróbowana. Bóg próbuje naszą nadzieję, bo nadzieja niewypróbowana jest zwykłym marzeniem. Człowiek lubi marzyć. Ale kiedy przyjdzie pierwsza lepsza próba, marzenia rozwiewają się jak poranne mgły. Natomiast nadzieja przez próbę umacnia się, staje się jeszcze mocniejsza, jeszcze głębsza. I dlatego na krzyżu następne słowa Jezusa Chrystusa brzmią: „W ręce Twoje oddaję ducha mego”. Te słowa oznaczają wypróbowaną nadzieję. Nadzieja pojawia się tu jako akt powiernictwa. Powieramy siebie Bogu. Powieramy Temu, który dał nam obietnicę. Nie rzucamy słów na wiatr, ale kierujemy nasze słowa w stronę Tego, który obiecał. Obiecał – i dotrzymuje obietnic. Wystawia nas na próby, ale celem próby jest jedynie to, żeby nadzieja była głębsza.

Taka chwila, jaką teraz przeżywacie, jest dla każdej z was próbą jakiejś nadziei. Jest to ogromne wydarzenie w życiu duchowym waszego zgromadzenia. Trudno to nawet dzisiaj

słowami wyłożyć, jak ważne to wydarzenie. Świat o nim wie bardzo niewiele. Ale w królestwie Bożym to wydarzenie jest wmurowaniem kamienia węgielnego pod gmach królestwa. Dlatego w takiej chwili każda z was potrzebuje wielkiej nadziei. Zarówno potrzebują nadziei te, które tu pozostają, jak i te, które tam jadą. Bo dla wszystkich jest to jakaś próba nadziei. Trzeba w tej próbie uwierzyć w skarb, uwierzyć w to, że każda z was jest kroplą rosy odbijającą łaskę Bożą na pajęczynie Bożego królestwa. I trzeba uwierzyć w to, że być może, być może przyjdzie taka chwila, kiedy człowiek zada sobie to pytanie: Boże mój, czyżbyś o mnie zapomniał? Czyżbyś mnie opuścił? I przyjdzie chwila, że [powie] – w ręce Twoje oddaję życie moje, oddaję ducha mojego. I wtedy narodzi się w tym zgromadzeniu nowa, jeszcze głębsza nadzieja. Z tą nadzieją zaczniecie budowanie nowego kamienia w królestwie Bożym.

Dokończmy jeszcze nauk brata Idziego: „Człowiek winien zawsze bać się; i choćby żył w pomyślności wielkiej i na stanowisku wysokim, i w godnościach wielkich, i w wielkiej doskonałości swego stanu, to jeśli nie ma dobrego sternika, to jest nie rządzi sobą rozumnie, może marnie zginąć w głębokiej przepaści występków. Przeto, by dobrze czynić, trzeba nade wszystko wytrwania, jak mówi Apostoł: Nie ten, który zaczyna, lecz ten, który wytrwa aż do końca, wieniec otrzyma. Kiedy drzewo się rodzi, nie od razu jest wielkie; a kiedy urosnie, nie od razu owoce wydaje; a kiedy wyda owoce, nie wszystkie one jednak dostaną się ustom pana tego drzewa; gdyż wiele owoców tych spada na ziemię i gnije, i psuje się, i zjadają je zwierzęta. A jednak, jeśli dotrwa aż do lata, przeważną

Tischner. Ostatnie słowa

część tych owoców zbierze pan drzewa«. I rzekł jeszcze brat Idzi: »Cóż by mi pomogło, gdybym sto lat używał królestwa niebieskiego, a nie wytrwał, tak że potem nie zaznałbym dobrego końca?« I rzekł jeszcze: »Sądzę, że to są dwie łaski i dwa dary Boże największe dla tego, który je zdobyć może w tym życiu: wytrwać z miłością w służbie Bożej i strzec się zawsze w grzech popaść«³.

ks. Józef Tischner

1

Rozmowy z chorym

Chrypka zaczyna dokuczać ks. Józefowi Tischnerowi wiosną 1997 roku. Zjawia się od czasu do czasu, sprawia więc wrażenie nawracającego efektu przeziębienia. Ale skoro zima ustępuje, sezon chorobowy powinien się kończyć. Chrypka jednak się nie kończy. Przeciwnie, zaczyna coraz bardziej dawać się we znaki. Ale wina znów idzie na karb pogody, bo wiosna jest deszczowa, a duża wilgotność powietrza sprzyja chorobom dróg oddechowych.

Już w maju zaczynają się intensywne opady, zapowiedź bliskiego kataklizmu. Zanim z końcem miesiąca woda po raz pierwszy w tym roku wyleje poza koryta rzek, Tischner zdąży odprawić mszę polową na rozpoczęcie sezonu flisackiego na Dunajcu. Powie: „Na jednej tratwie płyniemy”. Wkrótce te słowa nabiorą nowego znaczenia.

To wtedy też filozof po raz pierwszy, mimochodem, poskarży się na ból gardła. Dolegliwość jest jednak na tyle uciążliwa, że zwykle stroniący od wizyt lekarskich Tischner decyduje się na pójście do specjalisty. Niedaleko rodzinnej

Łopusznej, w Nowym Targu, trafia do laryngologa cieszącego się w okolicy dobrą opinią. Otrzymuje receptę na antybiotyk, który ma zwalczyć anginę i zapalenie krtani. Lekarka zaprasza go również na kolejną wizytę, by już po wyleczeniu choroby wycisnąć widoczny w gardle ropień.

Pomimo kuracji chrypka nie ustępuje. Tischner zaś odwleka kolejne wizyty u laryngologa. Na początku lata głowę zaprzatają mu ważniejsze sprawy. Na uczelni kończy się semestr, trzeba więc uporządkować wszystkie sprawy studenckie i administracyjne, nad którymi czuwa jako dziekan Wydziału Filozofii Papieskiej Akademii Teologicznej. Poza tym musi wywiązywać się z przyjętych wcześniej zaproszeń i jeździć na liczne konferencje krajowe i zagraniczne.

W czerwcu jego uwagę przykuwa pielgrzymka Jana Pawła II do Polski: papież odwiedza kilka miast, do których za trzy tygodnie wtargnie woda, wizytuje również Podhale. Podczas spotkania z przedstawicielami świata nauki w krakowskim kościele św. Anny Jan Paweł II dostrzega Tischnera w ciasno ustawionym szpalerze ludzi wewnątrz świątyni. Wywołuje go do siebie i wypowiada słowa, które staną się symbolem sympatii, jaką Karol Wojtyła darzy filozofa. „Józku, latałem nad twoją bacznością” – śmieje się, nawiązując do swojego przelotu helikopterem nad Tatrami i Turbaczem w drodze z Zakopanego do Krakowa.

W końcu jednak Tischner decyduje się na ponowną konsultację lekarską. I ponownie otrzymuje antybiotyk. Jednak kuracja kolejny raz nie przynosi poprawy: gdy lekarstwa się kończą, następuje chwilowa poprawa, po pewnym czasie jednak powraca dyskomfort.

W pełni lata chrypka jest już stała, a Tischner, mówiąc, szybciej się męczy i jego głos jest nieco cichszy. Gdy mówi przez dłuższy czas, słowa więzną mu w gardle, musi odchrząkiwać. Z czasem coraz częściej. Dopóki kontroluje ten odruch, stara się być dyskretny. Pod koniec lata robi to już bezwiednie. We wrześniu musi przepychać własny głos przez krtań, jakby nie był już w stanie przejść płynnie od zdania do zdania. Ale przy tak intensywnej eksploatacji, jaką Tischner funduje swojemu gardłu, chrypka nie wydaje się mimo wszystko czymś dziwnym. Niepokoi raczej odczuwany ból gardła, z którym walczy antybiotykami, płukaniem gardła i pastylkami do ssania. Nie sposób zresztą przejmować się, ot, grypą, uciążliwym przeziębieniem czy przemęczeniem głosu, gdy wokół rozgrywa się tragedia.

Stojąc dziś przy Łopuszańskim kościele, pięknej drewnianej świątyni, na odrestaurowanej średniowiecznej elewacji można dostrzec metalową tabliczkę. Mieści się na wysokości wzroku dorosłego człowieka. Wskazuje poziom wody, która w 1997 roku wystąpiła z leżącego parędziesiąt metrów dalej Dunajca. Tischner, wolny już od akademickich obowiązków, był wówczas w Łopusznej.

Z końcem czerwca 1997 roku przychodzą bardzo intensywne opady⁴. Początkowo wygląda to na powtórkę deszczy sprzed miesiąca. Ale tym razem nie przestaje padać. Wzbierają rzeki Niemiec, Czech, Austrii, Słowacji. W Polsce zaczyna się powódź tysiąclecia. W ciągu czterech najbliższych tygodni

woda odbierze życie 56 osobom. Drugie tyle zginie w powodzi w sąsiednich krajach.

Pierwsza fala deszczu, która skutkuje powodzią, trwa przez tydzień. W ciągu doby lokalnie wielkość opadów wynosi nawet czterokrotność miesięcznych norm. Pomiędzy 3 a 10 lipca stan wód wzrasta tak gwałtownie, że płynący przez Łopuszną Dunajec szybko osiąga na wysokości Nowego Sącza stan alarmowy, który po siedmiu dniach jest przekroczony o niemal półtora metra. Poziom wody sięga 526 centymetrów. Rzeka wylewa daleko poza koryto, w pobliskim Knurowie zrywa most. Przepływająca na tej wysokości Polski Wisła wraz z końcem pierwszej fali powodzi przekracza stan alarmowy o ponad trzy metry. Kiedy fale kulminacyjne wody Wisły i Dunajca łączą się w tej pierwszej, odnotowany zostaje najwyższy w historii stan Wisły.

W jeden z pierwszych lipcowych wieczorów woda Dunajca zalewa teren, na którym przy rzece stoi kościół pod wezwaniem Trójcy Świętej w Łopusznej. Tischner przychodzi do świątyni – akurat w tych dniach nie ma proboszcza, który pojechał na prywatną pielgrzymkę za granicę – i wynosi ze świątyni Najświętszy Sakrament w monstrancji. Umiejscawia Go na plebanii, położonej wprawdzie tuż obok, lecz już parę dobrych metrów wyżej niż kościół. Łopuśnianie, sprawdzonym sposobem, obwiązują świątynię mocnymi linami. Mężczyźni będą czuwać, by woda nie porwała liczącego przeszło pięćset lat kościoła.

Liny trzyma także Wojtek, syn brata Tischnera, Kazimierza. Emocje w rodzinie są duże, bo zagrożone może być życie

najbliższych osób. W podsądeckich Stadłach mężczyźni linami chcą uratować most. Trzech z nich porywa rzeka, uratować uda się tylko dwóch.

Zaledwie po tygodniu od poprawienia się pogody naciera druga fala opadów. Od 18 do 22 lipca znów leje bez przerwy. Tym razem rzeki wzbierają natychmiast, bo ziemia nie jest w stanie przyjąć ani kropli wody. Odra na odcinku ponad 500 kilometrów przekracza dopuszczalny stan – przepływy są tak duże, że statystycznie zdarzyć się mogą raz na tysiąc lat. Podczas gdy wcześniej woda zniszczyła majątek, to trzeci tydzień powodzi niszczy nadzieję. Tischner widzi zrozpaczone twarze poszkodowanych osób i gruzowiska, które pozostały z ich domów; wielu mieszkańców wsi nie ma żadnego ubezpieczenia, a więc też szansy na nowy początek. Bilans strat materialnych jest porażający. Gdyby liczyć go w pieniądzu: to ponad 12 miliardów złotych. Gdyby mówić o ludziach: trzeba pomyśleć o przeszło 7 tysiącach osób, które z końcem lipca zostały bez dachu nad głową, i kolejnych 40 tysiącach, które straciły dorobek całego życia. Hymnem mobilizacji społecznej do pomocy staje się piosenka zespołu Hey mówiąca o tym, że „moja i twoja nadzieja może uczynić dziś cuda”...

Kiedy wreszcie po 22 lipca powódź ustąpiła – choć później przychodzą jeszcze niepokojące opady – Tischner pisze w „Tygodniku Powszechnym” komentarz pod znamienym tytułem *Pytanie o sens*⁵. Charakter tekstu przywodzi na myśl jego zaangażowane teksty z lat 80. W każdym zdaniu pobrzmiwa wysoki ton. Tischner w swoim stylu ustawia się ponad emocjami, które przecież były także i jego udziałem. Kiedy wszechobecne

są liczbowe zestawienia strat materialnych i wyliczanie strat duchowych, jak utrata wiary w przyszłość – Tischner chce porządkować myślenie i budzić sumienia. (To właśnie tego rodzaju ton zniechęcał do niego część ludzi w latach stanu wojennego. Oczekiwali wówczas ze strony Tischnera manifestów, deklaracji politycznych, emocjonalnej bliskości. On zaś wygłaszał w krakowskim kościele św. Anny kazania zanurzone w filozofii).

Tischner najpierw odróżnia zło – które jest efektem ludzkich działań – od nieszczęścia, którego człowiek nie jest winien. Potem stawia w perspektywie wiary pytanie o sens nieszczęścia, jakim jest powódź. Stanowczo wyklucza interpretację o Bożej karze. Kara taka dosięga bowiem tego, kto zawinił, zaś wielka woda dotknęła także niewinnych. Tischner proponuje więc inny klucz: znaku czasów. Krytykuje to, co uderzyło w oczy: egoizm, odmowę pomocy, szabrownictwo. Ale nie nazywa tego dosłownie, lecz pisze subtelnie: ustąpienie wody odsłoniło bowiem nie tylko ruiny, ale też fakt, że „naszemu życiu społecznemu wiele brakuje”. Bo gdy chodzi o konkretne czyny, Polska okazuje się pęknięta: „ratowanie własnej skóry czy... własnego krzesła jest ważniejsze od ratowania cudzego życia”. Nieszczęście, pisze, może wyzwolić w człowieku dobro albo zło, podłość lub solidarność. Wspomina o wrocławskiej grupie młodzieży, która niespełna dwa miesiące wcześniej pracowała przy pielgrzymce papieża, a teraz na powrót się skrzyknęła i pomaga ofiarom powodzi.

Nic dziwnego, że przez cały lipiec nie miał czasu zająć się swoim zdrowiem. W sierpniu nie jest lepiej. Sporo pisze do gazet. Zaległe obowiązki, kilkudniowa konferencja w Paryżu, odkładane na okres wakacji prace pisarskie, starania, by rozwinąć autorską koncepcję filozofii dramatu. Czas się kurczy, bo przecież z początkiem września znów zaczną się piętrzyć prace związane z nowym semestrem akademickim. A do tego wciąż jeździ do Łopusznej na dwa, trzy dni, potem znów rusza w inne miejsca Polski.

10 sierpnia 1997 roku odprawia mszę na Turbaczu⁶. Głos ma mocny, humor wyborczy. Mówi trochę sentymentalnie o młodości, o śpiewaniu, o swoim dziadku i o góralskim honorze. Sądząc po nagraniu, jest w pełni sił. Zachęca do czytania pojawiającej się w tym czasie na łamach „Przekroju” w odcinkach *Historii filozofii po góralsku* – na jej książkowej promocji jesienią 1997 roku nie będzie się mógł pojawić.

Kiedy schodzi z Turbacza, jak zapamiętał brat Kazimierz, jest z przebiegu mszy bardzo zadowolony. Tryska humorem. „Tak dobrze wyszło – mówi – jakby to ostatnia msza miała być”. Ten żart właśnie stał się faktem i Tischner już więcej mszy na Turbaczu, gdzie odprawiał je od niemal dwudziestu lat, nie poprowadzi.

W ten sam sierpniowy weekend w „Gazecie Wyborczej” można przeczytać jego tekst o bp. Janie Pietraszce, który nauczył go ewangelicznego myślenia. Jednocześnie dzień wcześniej w biuletynie Katolickiej Agencji Informacyjnej ukażała się rozmowa z Janem Marią Jackowskim⁷, który wiosną

1997 roku opublikował książkę *Bitwa o prawdę*, a w niej w niewyszukany sposób atakował Tischnera. Felietonistę Radia Maryja, który wykorzystuje okazję, by kolejny raz uderzyć w ideowego oponenta, odpytują Jan Grzegorzczak i Paweł Kozacki op. Tischner wysyła do „Tygodnika” list, w którym dziwi się nie słowom Jackowskiego, lecz „niekompetencji pytających”, których „zadowala byle chrząknięcie”⁸.

Przychodzą dalsze zamówienia na teksty. Pod koniec miesiąca Tischner na łamach „Gazety Wyborczej” mierzy się z zataczającym coraz szersze kręgi przekonaniem o rozpadzie idei „Solidarności”⁹. W tym czasie regularnie publikuje w „Tygodniku Powszechnym” eseje, które złożą się na jego ostatnią wydaną za życia książkę. W „Znaku” z kolei od maja rozpoczęto publikację pisanych w formie listów rozmów Tischnera ze znaną podhalańską poetką Wandą Czubernatową, które złożą się później na książkę *Więści ze słuchanicy*.

We wrześniu gardło dokucza Tischnerowi stale, ale odruchowe już odchrząkiwanie sprawia, że dolegliwość jest niemal oswojona. Skoro zaś nie uniemożliwia pracy, to można z jej leczeniem poczekać. Poza tym wciąż „coś” się dzieje. W telewizji wyemitowany zostaje odcinek programu edukacyjnego dla dzieci *Ulica Sezamkowa*. Tischner jest gościem specjalnym, zaprezentowanym jako góral i duszpasterz. To będzie jedno z jego ostatnich nagrań „z głosem”.

Sytuacja jednak zaczyna się zmieniać. Ze względu na niedyspozycję głosu nie może kontynuować wszystkich zajęć. Chrypkę słychać we wrześniowych nagraniach telewizyjnych w Telewizji Katowice z dziennikarką Ewelina Puczek.

Również w nagraniu radiowym *Skrzyżowanie dróg. Norwid księdza profesora Józefa Tischnera* zarejestrowana zostaje chrypka¹⁰. *Historii filozofii po góralsku* w Radiu Kraków już nie będzie odczytywać i w narratorkę wcieli się Stanisława Trebunia-Staszela.

Od sierpnia członkowie rodziny sugerują Tischnerowi, że najwyższa pora zmienić lekarza. We wrześniu bratowa Barbara, żona Mariana, nie daje już za wygraną i nalega na wizytę u innego specjalisty. Tischner początkowo zbywa ją i problem obowiązkami i wyjazdami. Dużo czasu spędza w Wiedniu, gdzie w Instytucie Nauk o Człowieku, który założył kilkanaście lat wcześniej z przyjacielem Krzysztofem Michalskim, szuka teraz azylu, by cierpliwie zmagać się z rozwijaniem autorskiej perspektywy filozoficznej. Nie chce jednak, żeby odbywało się to kosztem innych zobowiązań. Dlatego na przykład jedzie tam i z powrotem z Wiednia do Krakowa, by wygłosić prelekcję dla krakowskich pielęgniarek. 8 września do 500 zgromadzonych osób na konferencji o epidemii wirusa HIV mówi: „Nasze człowieczeństwo objawia się i hartuje w odkrywaniu Boga w osobie, która przeżywa dramat choroby i śmierci”¹¹.

Wreszcie, choć tego nie planuje, trafia do kolejnego specjalisty, tym razem w Krakowie. Działa pod wpływem impulsu. Idąc przez Rynek Główny, dostrzega szyld spółdzielni lekarskiej. O pracującym w niej doktorze słyszał właśnie od bratowej Barbary.

Tak Tischner trafia w drugiej połowie września do doktora Jana Kulisiewicza. Rozpoznanie jest natychmiastowe. Rak

krtani. Nowotwór jest już tak zaawansowany, że lekarz od razu widzi, z czym ma do czynienia. Najpierw jednak trzeba jeszcze wykonać biopsję.

Przed otrzymaniem wyników badań Tischner próbuje jeszcze przez tydzień normalnie żyć. Dopóki nie pozna diagnozy postawionej na podstawie biopsji, dopóty jest nadzieja, że to jednak nie nowotwór. Spotyka się na kolacji z małżeństwami Szczeklików i Wajdów. Jest tak zachrypnięty, że ledwie mówi. Przytakuje słowom o przeziębieniu jako przyczynie swojej głosowej niedyspozycji. Rozmowa jest swobodna, więc pada żart, który jeszcze bardziej mu odpowiada: „Pewnie za dużo gadasz”. Wkrótce jego spotkania z Andrzejem Szczeklikiem, profesorem medycyny, będą wyglądać całkiem inaczej.

Na kolejnym spotkaniu z doktorem Kulisiewiczem Tischner ma już pewność. Lekarz działa natychmiastowo. Następnego dnia chory ma być w szpitalu. Tischner przyjmuje diagnozę i stosuje się do poleceń lekarza. Informuje rodzinę i uspokaja. „Na to się nie umiera”.

Trafia do szpitala im. Stefana Żeromskiego w Nowej Hucie. W dniu dziewiętnastej rocznicy wyboru Karola Wojtyły na papieża Tischner jest operowany przez dr. hab. Janusza Włodykę, ordynatora Oddziału Otolaryngologicznego, w asyście laryngologa doktora Jana Kulisiewicza. 16 października 1997 roku traci dużą część krtani, na której usadowił się nowotwór. Pozostaje mu jedna struna głosowa. I nadzieja: „Czuję, że go nie mam”.

Zdiagnozowanie nowotworu zaskoczyło wszystkich. Tischner nie miał do tej pory większych problemów zdrowotnych. Niekiedy przemęczał głos, tak jak i w ogóle się przemęczał. Dlatego diagnoza sformułowana w Nowym Targu długo była wiarygodna dla niego samego i dla rodziny: chrypka jako efekt zapalenia krtani, ból, opuchlizna gardła i powiększone węzły chłonne jako objawy anginy. Jednak ów ropny guz był guzem nowotworowym.

Gwałtowna zmiana sytuacji – rozpoznanie raka i operacja – podcięła bliskim nogi. W najbliższej rodzinie pojawiło się poczucie winy: dlaczego wcześniej nie zauważyliśmy objawów choroby, dlaczego mocniej nie nalegaliśmy na Józia, żeby podjął leczenie? Janina Tischner nieraz się zastanawiała, czy aby już na nagraniach do telewizyjnego serialu *Siedem grzechów głównych po góralsku* w 1995 roku nie słyhać, że głos Tischnera zaczyna się zmieniać. Bo takie, po czasie, miała wrażenie.

Pojawiły się oczywiście pytania o przyczyny choroby. Zastanawiały bardziej członków rodziny Tischnera niż jego samego. Co on sam na ten temat sądził – nie wiadomo. To, czy człowiek sam sprowokował chorobę, czy po prostu akurat na niego „padło”, niesie ze sobą ważne konsekwencje. Dotyczą one nie tylko samopoczucia chorego, ale także podejścia lekarzy i społecznej oceny. W przypadku raka krtani medycyna jest zgodna: najczęściej to nowotwór zawiniony przez samego chorego¹².

A jednak choroba Tischnera była niezawiniona. Czynniki ryzyka typowe dla tego nowotworu jego akurat nie dotyczyły.

Po pierwsze, nigdy nie palił tytoniu. I to mimo tego, że jego ojciec był nałogowym palaczem. Do dzisiaj krąży po Łopusznej wspomnienie, że Józef senior, który sprowadzał sobie tytoń z Chrzanowa i sam skręcał papierosy, jak to wówczas powszechnie robiono, potrafił wypalić najmocniejszego nawet skręta. Kiedyś zdobył czarne liście tytoniowe, które były tak mocne, że żadnemu mężczyźnie we wsi nie udało się wypalić całego papierosa. Tymczasem palacze stanowią ponad dziewięćdziesięcioprocentową grupę pośród tych, którzy zapadają na raka krtani. Po drugie, Tischner nie pił alkoholu. Czynnikiem zwiększającym ryzyko zachorowania, istotnym zwłaszcza w połączeniu z paleniem, jest stałe nadużywanie trunków z procentami. A problem ten dotyczy połowy diagnozowanych przypadków. Tischner jednak nie tylko nie nadużywał, ale niemal w ogóle nie używał alkoholu. Po trzecie, nie miał styczności ze szkodliwymi substancjami. Po czwarte wreszcie, powstaniu raka krtani sprzyja zła dieta: bardzo mięsna, zwłaszcza z mięsa konserwowego. Tischner jako diecezjalny kapłan stołował się w księżowskiej stołówce, a w Łopusznej tym bardziej nie mógł skarżyć się na posiłki.

Trzeba też wykluczyć genetyczne podłoże choroby. Akurat rak krtani nie jest warunkowany występowaniem nowotworu w rodzinie. Chociaż ten trop wydawał się wręcz naturalny, ponieważ w dramatyczny sposób jurgowska część rodziny Tischnera wyniszczana jest przez nowotwory złośliwe. Nie można go zresztą całkiem wykluczyć, bo podatność na nowotwory w rodzinie może oznaczać podatność także i na te, które nie są warunkowane genetycznie.

Rozstrzygający wydaje się jednak inny czynnik. Proces inicjujący rozwój raka może być spowodowany również przez przewlekłe stany chorobowe krtani, głównie jej chroniczne zapalenie. Tischner pracował głosem zarówno jako kapłan, jak i jako wykładowca. Wielokrotnie przemęczał i przeciążał swój głos. Także niejedną raz przechodził zapalenie krtani. Niekiedy pracę głosem musiał wręcz odchorować. Tak było wiosną 1997 roku. W marcu brał udział w koncercie dyrygowanym przez Kai Bumanna w ramach jubileuszu miasta Gdańska. W *Pasji według św. Łukasza* Krzysztofa Pendereckiego wcielił się w rolę narratora-Ewangelisty. Wrócił wówczas do Krakowa z dużą niedyspozycją głosu, która przez pewien czas dawała mu się we znaki. Podejrzanie, że choroba nowotworowa przysłała wraz z męczącą chrypką w maju 1997 roku, raczej nie jest słuszne. Stadium rozwoju raka, w którym został on u Tischnera zdiagnozowany, było zaawansowane.

Tischner stał się przypadkiem dopełniającym statystykę. „Rak krtani”. Taką samą diagnozę w tym czasie słyszało około siedmiu osób dziennie. Teraz ta liczba nieco maleje. Mimo to Polska od lat plasuje się w czołówce zapadalności na ten nowotwór. Rak krtani to po raku płuc drugi najczęstszy nowotwór dróg oddechowych. Krtań zaś pozostaje drugą po nowotworach skóry najczęstszą lokalizacją narządową wśród nowotworów głowy i szyi.

Poza brakiem bezpośrednich czynników ryzyka Tischner pasował do przeciętnego obrazu chorego. Był mężczyzną – a mężczyźni zapadają na raka krtani niemal osiem razy częściej

niz kobiety, statystycznie 12 mężczyzn na 1000. Miał 66 lat – najczęściej nowotwór rozwija się w przedziale wiekowym 61–70. Diagnoza przyszła zbyt późno – przeciętnie rozpoznaje się tę chorobę po pół roku od wyraźnego zaobserwowania objawów, które występują przy innych dolegliwościach krtani: chrypka, duszność, ból przy przełykaniu. Zmarł niespełna trzy lata od rozpoznania – tak jak większość chorych zdiagnozowanych już na etapie zaawansowanego rozwoju raka.

„Zacyno sie od tego, ze jakosi baba – nie wiyim skąd, moze z kieleckiego – ruciyła na mnie urok. Pożrała jakosi krzywym okiyim, jo się na cas nie osotoł, nie splunól, jako trza, i po casie urosła mi bula w krztóniu. Pokiela se była niewielko, to se mogła być. Ale rosła. Kóniec kónicym trza było dać wyrznąć. No, nie powiyim, ciekawe”¹³.

Tak trzy miesiące po operacji Tischner będzie żartować ze swojej choroby w liście z cyklu *Wieści ze słuchanicy*. Opisz też sam zabieg: „Co hań symnóm robili, to nie wiyim, bo-jek społ. Jak-ek sie ozbudziył, to garło miołek zatkane kopciem ze smaty, jako to downiej obónki z mlykiym zatykali, kie trza je było z gór zwieżć”.

Żartów nie będzie również szczędzić swojej kondycji i wyglądowi po operacji. „Do nosa wetkali mi rułecke, coby gołębie miały na cym siadać, jakby miały ochote. I bez tóm rułecke zacyni mi wlywać jodło. No, tyz piyknie. Nie musis

się męczyć, rusający kufom. Ino ze to zarcie nosym nijakiej radości ci nie daje, bo omijo smak. I mogóm Ci hań wlywać syćko, co majom pod rękóm, a Ty i tak nie cujes, co. Nima juz nijakiej różnicy między, dajmy na to, naftom a mlykiym, winym a kwaśnicom, wodóm ze źródła a śpyrytusem. A Ty, jak se tak lezys z kopciem w gembie, to główe mos pełnóm wselnijakich smaków. Dopiero Ci się zbacuje! A to grule z kwaśnym mlykiym u Krzystynioka w Jurgowie, a to moskol piecony na blachach z Ostrowska, a to kwaśnica przysposobiona z Sumolowej z Łopusnej, a do tego jesce piwo, piwo, piwo... A Ty lezys, jak tyn scór. A tu jesce ludziska przychodzóm, patrzóm na chłopa z rułóm w nosie i kopciem w krztoniu i cekajóm, coby z kopcia jakóm pocieche usłyseć. Nie, nie trofio cie ślak! Ej Boze, doleś tymu, co nimoze, a kie cłek móg, to mu nie doł Bóg”.

Ten ubrany w góralską gwarę ironiczny opis własnego położenia mówi bardzo wiele o Tischnerze z tego okresu. Nie tylko w wymiarze faktograficznym. Fakty bowiem były takie: po operacji Tischnerowi pozostaje jedna struna głosowa. Może się więc porozumiewać słownie, ale tylko szeptem, co jest męczące. Przez nos ma poprowadzoną sondę nosowo-przelykową, za pomocą której jest nawadniany, odżywiany i przyjmuje leki. Jedzenie nie trafia do jamy ustnej, dlatego Tischner jest pozbawiony jego smaku. Póki co jednak może to być normalne pożywienie, byle tylko odpowiednio zmiksowane. Jest też element estetyczny: rurka jest na twarzy na stałe. W gardle, na wysokości obojczyków, tkwi tracheotomijna dziurka umożliwiająca sprawne oddychanie. Dla chorych

utrzymanie jej w czystości to spore wyzwanie: opatulo-
na bandażem i plastrami wciąż się brudzi, co z kolei grozi
zakażeniem i poważną infekcją.

Chcąc nie chcąc Tischner wchodzi w swoim życiu w nową
rolę – w rolę chorego¹⁴. Człowiek ma zwykle w życiu do speł-
nienia kilka ról równocześnie. Zmieniają się one w czasie,
jedne się kończą, inne zaczynają. Jednak rola chorego jest
wyjątkowa. To rola, która dominuje pozostałe. Życie zawo-
dowe, towarzyskie, a nawet rodzinne zostają ograniczone.
Aktywności fizyczne i umysłowe zwykle nie mogą być dłużej
prowadzone w tym samym co wcześniej wymiarze. Choroba
przewlekła – najkrócej mówiąc: trwała, wymagająca terapii,
powodująca nieodwracalne zmiany – jest zaburzeniem nie
tylko biologicznym, lecz również psychologicznym i spo-
łecznym. Każdy z tych wymiarów zostaje w naszej kulturze
dodatkowo pogłębiony przez spychanie choroby w sferę
prywatną. Ograniczenie kontaktów międzyludzkich, jakiego
doświadcza chory, wpływa na jego niższą samoocenę, ta zaś
nie pozostaje obojętna na kondycję organizmu zmagają-
cego się z chorobą i jego mobilizację do przezwyciężenia
przypadłości.

Siłę zmian, jakim poddaje człowieka rola chorego, widać
zwłaszcza na przykładzie księży. Chorych księży się nie
zna, bo są „odsunięci od posługi”. Chory ksiądz jest jeszcze
bardziej samotny. Choroba odcina kapłanów od duszpaster-
stwa i kontaktów towarzyskich, tracą swoje pozycje zawo-
dowe i zwykle trafiają do domu księży emerytów lub pod
opiekę siostr zakonnych. Choroba spycha księdza w sferę

prywatności jeszcze bardziej niż innych ludzi. Wszystko to jest zresztą tylko przedsmakiem doświadczenia obecnych standardów umierania: również bowiem śmierć została wyłączona ze społecznych ram, zinstytucjonalizowana i zmedykalizowana⁴⁵. Już nie umiera się w domu, czego życzył sobie też Tischner, lecz umiera się w szpitalu, co stało się jego udziałem.

Tischner jednak nie zarzuca swojej aktywności pisarskiej i pracy umysłowej, nie pozwala sobie na stłumienie ekspresyjnego temperamentu, nie izoluje się od kontaktów z ludźmi. Innymi słowy postępuje tak, by choroba zabrała mu jak najmniej z dotychczasowego życia. Entuzjastyczna atmosfera, jaka panuje po jesiennej operacji, jest efektem zarówno pozytywnego nastawienia Tischnera, jak i formułowania przez środowisko lekarskie i osoby najbliższe ocen pełnych nadziei na powrót do w miarę normalnego funkcjonowania.

Chory reaguje na wieść o ciężkiej chorobie albo zaprzeczaniem – tymczasem Tischner nie kwestionował lekarskiego wyroku, albo pomniejszaniem – nie bagatelizował też swojego stanu, albo akceptacją. Tischner przyjął diagnozę i przeżywał chorobę w sposób świadomy, a wręcz kontrolowany.

Chciałoby się powiedzieć, że na tym etapie – kilka miesięcy po operacji – to nie rak trzyma Tischnera w garści, lecz Tischner trzyma w garści swoją chorobę. Nie daje się jej zawładnąć. Nie jest to jednak tylko spontaniczna reakcja na nowotwór złośliwy, lecz postawa, którą kształtował intelektualnie dwie, a nawet trzy dekady wcześniej. Wchodząc w przestrzeń szpitala i w rolę chorego, nie wkraczał w całkiem obce realia,

lecz w sferę którą znał z zewnątrz, jako komentator i teoretyk. Teraz tylko, jesienią 1997 roku, przychodzi mu zderzyć przemyślenia z własnym doświadczeniem.

Dwie dekady wcześniej, w roku 1976, Tischner wygłosił w Krakowie cykl „pogadank” z chorymi na białaczkę. Teksty opublikował później dominikański miesięcznik „W Drodze” pod tytułem *Rozmowy z chorymi*⁶. Co Tischner w nich mówi?

Na samym wstępie uczciwie wyznaje, że nie należy do osób doświadczonych chorobą ani nie jest lekarzem. Nie poczuwa się też do miana „znawcy cierpień”. Nie nazywa się również filozofem, lecz człowiekiem zaprzyjaźnionym z filozofią. Co więcej, zaznacza, nie ma zwyczaju, by filozof towarzyszył osobom chorym, choć przecież choroba jest doświadczeniem uniwersalnym: „Wielu ludzi chorowało i cierpiało przed nami. Idziemy drogą, którą już ktoś przeszedł, drogą wydeptaną przez ludzkość, drogą wielokrotnie przetartą”. Dlatego kłamstwem wmawianym człowiekowi przez cierpienie jest przekonanie, że on jeden cierpi. W tym samym czasie na drodze choroby są inni. Jedni idą w głębokim milczeniu, inni zaś mówią, choć się nie skarżą. Ich słowa mają szczególne znaczenie: „Może nie przez to, że są wielkie, ale przez to, że dokonały się w tak trudnych chwilach ich życia”. Nawet w cierpieniu, przekonuje Tischner, człowiek chce dzięki swojemu rozumowi widzieć światło w ciemności. Dlatego chorych na białaczkę zaprasza w swoich pogadankach na spotkanie

z tymi, którzy myśleli, cierpiąc i cierpieli, myśląc – którzy w chorobie budowali swoją nadzieję.

Choroba jest głęboką tajemnicą. „Do człowieka, który jest w swoim wnętrzu prawdziwym życiem, choroba przychodzi od zewnątrz”. W wyniku konfrontacji z chorobą człowiek często doświadcza paradoksalnego wewnętrznego przebudzenia: z jednej strony, choroba chce go zniszczyć, z drugiej strony, ożywia jego wewnętrzną rzeczywistość. Dostrzegamy wyraźniej, co jest w nas prawdziwym życiem. „Choroba wyostrzyła nasz wzrok. Być może na zewnątrz widzimy gorzej, ale do wewnątrz, w zakamarki naszego serca widzimy lepiej. Być może dopiero teraz naprawdę spotykamy się sami ze sobą”. Tak cierpienie, którym przytłacza nas choroba, sprawia, że człowiek wręcz przekracza samego siebie. Zdolność przekraczania siebie jest zaś człowieczeństwem. Tischner kamufluje tutaj fragment Ewangelii: kto straci siebie, ten siebie zachowa, a kto będzie chciał siebie zachować, ten siebie straci. I jeśli przez całe życie człowiek musiał budować siebie na miarę sytuacji, w jakiej się znalazł – to tak samo jest w obliczu choroby. To człowiek musi przekroczyć ograniczenia, jakie ona stara się mu narzucić.

Tischner wprowadza pojęcie nadziei, na którym koncentruje się w tym czasie jego filozofia. Przedstawia je tu jako siłę, która „uzdalnia” człowieka do przekraczania siebie. Siła ta tkwi we wnętrzu osoby. Nadzieja rośnie w człowieku proporcjonalnie do prób, które on przechodził. „Im większa przemoc od zewnątrz, tym bardziej przemożna gotowość wewnątrz. Kto kiedy poznał wszystkie rozmiary wewnętrznych mocy

człowieka?”. Próby porównać można do przerwania kładki, którą idziemy przez życie. Próba oznacza więc konieczność skoku, by ominąć wyrwę w kładce. Wraz z pokonanymi próbami umacnia się w człowieku nadzieja. W obliczu choroby trzeba zadziałać tak samo. Choroba przychodzi z zewnątrz, przerywa kładkę, którą idziemy, więc szansą na pokonanie wyrwy jest wewnętrzna mobilizacja nadziei – nadzieja jest gotowością do skoku. „Nadzieja zawsze musi być na miarę próby. Im większa próba, tym mocniejsza nadzieja”.

Z *Na skalnym Podhalu* Kazimierza Przerwy-Tetmajera, książki, która jest jedną z jego ulubionych i skarbnicą przykładów, Tischner odczytuje podczas pogadanki fragment o Tomku Gadei, który poszedł do opuszczonej kopalni szukać rudy. Tę opowieść przywołuje nie pierwszy, nie ostatni raz – posłuży się nią również dwie dekady później. Śmierć jest tu personifikowana. Bohater, przemawiając do niej, jednocześnie ją ignoruje. Stwierdza, że człowiek musi przede wszystkim zachować „ducha”, a wtedy „nie będzie źle”. Tischner interpretuje to jako wskazanie na nadzieję, która przeprowadzić może człowieka przez największą próbę. Wielkość nadziei przewyższa wielkość życia. Człowiek czuje bowiem, że nadzieja wykracza poza życie, jak duch wykracza poza ciało. Człowiek świadczy o nadziei – „świadczy, jak w trudnych chwilach życia być człowiekiem naprawdę”. Świadcstwo drugiego ma kolosalne znaczenie dla naszego własnego budowania nadziei.

Zwłaszcza w obliczu choroby, która często uzależnia od innych ludzi: lekarzy, pielęgniarek, rodziny, opiekunów. Często człowiek – by „postawić” na nadzieję – potrzebuje nie tyle

opieki, co świadectwa innych chorych. Tischner, zastrzegający na początku, że nie będzie obarczać słuchaczy nazwiskami filozofów, ale korzystać z ich dorobku, robi wyjątek dla prof. Antoniego Kępińskiego (wcześniej opisał Sokratesa). Nazywa Kępińskiego niezwykłym człowiekiem i niezwykłym lekarzem. Cytuje jego pisma: o człowieku, który zawsze powinien wiedzieć, skąd przychodzi i dokąd zmierza, bo jest rozpięty między przeszłością i przyszłością, między tradycją a transcendencją. Powołuje się na Kępińskiego jako człowieka i myśliciela, który świadczył, że „człowiek jest przede wszystkim wielkością moralną: buduje się dzięki bohaterstwu drugich i buduje innych dzięki swojemu bohaterstwu”.

Człowiek może wybrać sposób bycia „według wdzięczności” lub „według pretensjonalności”. Tischner wskazuje na ten pierwszy. Wyjaśnia, że wdzięczność to „dawanie świadectwa temu, że człowiek całkowicie bez własnych zasług otrzymał dobro, które go zbudowało”. Co więcej, nic tak nie buduje człowieka jak wdzięczność. Ktoś, kto żyje według wdzięczności, jest w swoim wnętrzu jasny, jasnością promieniuje wokół – swoim istnieniem głosząc „chwałę życia”. Tischner cytuje filozofa Henriego Bergsona: wdzięczność to wdzięk duszy. A wdzięk pociąga. Dodatkowo: życie jest darem, który człowiek otrzymuje bez żadnej własnej zasługi, nawet nie ma możliwości podjęcia decyzji, czy chce pojawić się na świecie. „Darmo otrzymaliście, a więc darmo dawajcie” – mówi, znowu nie wprost cytując Ewangelię.

Choroba wiąże się też z lękiem. Tischner proponuje, by na ten lęk odpowiedzieć męstwem. Męstwo w obliczu lęku nie

polega na jego unicestwieniu, ale na jego opanowaniu. Zaś lęk opanowany przestaje decydować o życiu człowieka, choć z życia nie znika. Innymi słowy – mówi Tischner – „duszy zabić nie mogą”. Odkrywać siebie w chorobie można też przez ufność, ponieważ każda ufność, dziecka i starca, „jeżeli tylko chce pozostać ufnością, musi być otwarta na nieograniczone możliwości życia. Gdy pozornie nic nie jest możliwe, być może wszystko jest możliwe”. Bo życie jest pełne mocy – przekonuje Tischner – i ból życia może także służyć życiu.

Tischner podsumowuje: choroba niespodziewanie przychodzi do człowieka z zewnątrz i pobudza człowieka wewnętrznego. Człowiek wewnętrzny poznaje jakby ból rodzenia, który staje się w chorobie jego udziałem, gdyż przez cierpienia choroby dochodzi do autentycznego siebie. Przychodzą pytania o sens choroby i o oblicze śmierci. Nie one jednak, ale refleksja nad tym, co jeszcze można zaoferować światu (innym ludziom) – czy nie ma kogoś, kto cierpi bardziej niż ja sam, i czy nie ma takich, którzy w obliczu choroby gubią własne człowieczeństwo oraz jak im pomóc – powinny zaprzętać ludzką głowę w chorobie.
